







P. II - 376



# GŁOS PRAWDY

## TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II-ie p.; telefon 295-67.  
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godziny 4 — 6.  
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARSZAWA, DNIA 17 LISTOPADA 1923 ROKU.

### Skarb i wojsko.

Godzimy się wszyscy: prawi i lewi, czarni i czerwoni, że kapitałnemi podwalinami politycznej niepodległości narodów są: zdrowy skarb i moralnie silne wojsko, liczebnie odpowiadające ewentualnym wymaganiom obrony granic państwa. Chory skarb — to chore społeczeństwo, załamane moralnie wojsko — to zarzewie anarchji wewnętrznej i zadatek niewoli politycznej narodu. Nauka dziejów Polski, wymowa wielkich przesunięć i przewrotów lat ostatnich — wysuwa ją tę prawdę jako aksjomat dla wszystkich polityków i mężów stanu, dla narodów — w formie imperatywnej, niedopuszczającej kazuistycznych sprzeciwów.

Gdy dzisiaj, szaleńcza polityka rządu i bezprzykładne terroryzowanie, przez ugrupowania polityczne rządy sprawujące — nerwów społeczeństwa groźbą wojny domowej rzuciły w serca obywateli posiew tragicznej trwogi, już nie o chleb powszedni, a pro prostu byt państwa, gdy wszystko co było jasne na horyzoncie naszej przyszłości, powleczone załoną piorunowych chmur, gdy wygnano z granic Polski radość dnia dzisiejszego i pewność słonecznego jutra — musimy zwrócić wyteżony wzrok na skarb i wojsko, by w rezultacie analizy ich stanu znaleźć uspokojenie, lub bodziec do ratunku, przez dokonanie szybkich i radykalnych cięć sanacyjnych.

Pozostawiamy narazie fachowej krytyce, którą na tym miejscu w najbliższej przyszłości podamy, ocenę rezultatu gospodarki rządu w dziedzinie skarbowej, zatrzymując się chwilę na ocenie stanu moralnego armji. Wszakże już teraz trzeba stwierdzić, że skarb polski nigdy jeszcze nie znajdował się w stanie tak tragicznego rozstroju, nigdy drogi naprawy nie były tak powikłane,

a cel daleki, nigdy u steru tego resortu (poza p. Michalskim) nie stali ludzie bardziej od p. Kucharskiego jednostronni, zaslepieni i krótkowzroczni. Bezprzykładna, z dnia na dzień wzrastająca nędza najszerszych sfer społeczeństwa jest wykładnikiem tej polityki ciasnej, polityki klasy egoistycznej, mamiącej się możliwościami napełniania kas państwowych oszczędzaniem na zdrowiu państwa i narodu, bez daleko idących ofiar ze swego majątku, kosztem nędzy milionów obywateli znakomicie zachowanego i wielokrotnie pomnożonego. Można wyrazić przekonanie, że stronnictwa prawicowe, które zawsze były i są czynnikiem gilotynującym w izbach ustawodawczych wszystkie projekty podatków — są z natury rzeczy ostatnim czynnikiem dającym gwarancję naprawy skarbu.

Jeśli mowa o wojsku, to w świetle wypadków krakowskich, ujawniło ono stan w najwyższym stopniu alarmujący. Trudno o dość silne wyrazy na określenie zdziwienia, gdy uprzytomnimy sobie, jak w w przeciągu paru miesięcy potrafiiono załamać tę młodą, moralnie zdrową, chwałą zwycięstw radosną armję. Gdy niedawno jeszcze, pod wrażeniem pozbawienia armji kierowników i dowódców o najwyższym autorytecie moralnym uderzyliśmy na tym miejscu na alarm, przewidując zgubne tej brutalnej lekkomyślności skutki, ani na chwilę nie mogliśmy przecież przypuszczać, iż sięgną one tak szybko i tak głęboko po duszę żołnierza, że ją załamią, zasmucą i rzucają na falę zabójczych walk politycznych.

Przestrzegaliśmy najmocniejszymi słowy przed nieobliczalną akcją wciągania wojska do szeregów tajnych faszystowskich organizacji zamachowych, prowadzoną na szeroką skalę przez czynnych i nieczynnych generałów i wyższych oficerów, przestrzegaliśmy przed systemem sekowania oficerów legjonowych. Na próżno. Pałac pod Blachą na wszelkie ostrzeżenia reagował milczeniem i biernością, i dzisiaj doczekaliśmy się tego stanu, że w bardzo wielu pułkach i sztabach powstały oficerskie i podoficerskie jacejki faszystowskie związane przysięgą z zakonspirowanymi dowództwami stojącymi poza armją, korpus zaś oficerski przedstawia obraz rozbicia na obozy różniące się nie tylko pochodzeniem wojskowym, lecz przedewszystkiem politycznie. Doprowadzono do tego, że najaktualniejszym tematem rozmów wśród oficerów i żołnierzy jest odpowiedź na pytanie: co będziemy robili na wypadek zamachu stanu z tej lub innej strony, będziemy czy nie będziemy strzelali do cywilów, będziemy czy nie będziemy karni.

Żadne kwieciste i tanim patriotyzmem podlane frazesy nie potrafią zmienić tego stanu rzeczy, nie potrafią również odeprzeć prawdy, że wojsko bez wodza w znaczeniu moralnym, jako rękami uszanowania i przestrzegania jego przeznaczeń, wojsko raz fałszywie użyte i bezmyślnie w walce domowej skrwa-

wione — musi odwołać się do własnego rozumu, do własnego sumienia i na nich, błędnie czy słusznie, polegać.

Czemże bowiem są wypadki krakowskie, jak nie tragicznym rezultatem fałszywego użycia wojska? Z którejkolwiek strony przystąpić do ich rozpatrywania, z fachowo-wojskowej, czy politycznej, musimy dojść do jednego wniosku, że winę za ten przelew krwi i stworzenie procedensu przechodzenia wojska do „niewoli“ tłumów, ponoszą władze rządowe, ponosi przede wszystkim minister spraw wojskowych. W numerze 9-tym Głosu Prawdy oświeciliśmy polityczne momenty dramatu krakowskiego.

Przechodząc do strony wojskowej, musimy stwierdzić, że gen. Szeptycki i jego bezpośredni podwładny gen. Czikiel, uczynili wszystko, by do tragedji doprowadzić. Rzucili wojsko na ulicę, między tłumy, bez wyraźnych instrukcji, wywołanego przez policję krwawego starcia nie zlokalizowali, nie zlikwidowali, rozszerzyli natomiast jego rozmiary, rzucając do szarży szwadrony jazdy.

Politycy prawicowi, a szczególnie pp. Strońscy, Rabscy, Zamorscy i Sadowicze unoszą ku niebu natchnione głosy, wołając obywatelom krakowskim: zbrodniarze, strzelaliście do ułanów, którzy na was szarżowali bez broni, z lancami i szablami tylko w dłoni! Nikczemni.—Moi panowie! Czy staliście kiedy w życiu, przez chwilę, przez jeden moment oko w oko z szarżującą lawiną kawalerji, czy przeżyliście uczucie, że za chwilę te rozchukane konie spadną na wasze karki, stratuja, zmiażdżą, zaleją krwią, czy czuliście na swej piersi ostrze lancy szarżującego ułana i widmo cięcia szabli, których nie uważacie za broń? Zależy, nie trzeba być zbrodniarzem by w takiej chwili zdradzić i chwycić za broń, jakakolwiek znajduje się pod ręką i zrobić z niej użytek. I nie ten jest zbrodniarzem, który się w tej tragicznej chwili broni, lecz ten który ją prowokuje, stwarza, który rzuca ułanów przeciwko tłumom własnego, miłującego wojsko, społeczeństwa.

Wrogowie i zbrodniarze. A przecież ci sami ludzie wznosili entuzjastyczne okrzyki na cześć gen. Żeligowskiego, gdy ukazał się na ulicach Krakowa, ci sami ludzie obnosili na rękach oficerów, którzy nie uważali ich za wrogów, nie rzucili potwornego rozkazu: pa! Lecz nie mogli, nie mogą i nie będą nigdy mogli, tak oni — cywile, jak i wojsko, wivatować i na rękach obnosić Czykielów, Latiników, Rybaków i Stanisławów Hallerów, albowiem nazwiska te nie mają żadnej siły sugestywnej, nie mają tradycji polskiej nie mają blasku narodowych bohaterów, są to bowiem obcych, okupacyjni generałowie, przebrani w polskie mundury.

W tych warunkach \* armia \* musi \* się \* toczyć \* po \* pochyłej \*  
równi rozkładu i nie jest przesadnym lęk o stan jej gotowości

do skutecznego odparcia zagrażających nam ciągle ataków wroga zewnętrznego. Co najtragiczniejsze, że pod tym względem trzeba spodziewać się realizacji Witosowego „będzie gorzej“, bo musi być gorzej, gdy symbolem rządów jest nie głowa, a ręka. Balansujemy od „ręki zbrodniczej“ do „ręki silnej“. Zbrodnicza ucieka, silna zamienia się w krwawą, a koszty rękoczynów rządu płaci Polska. Oby nie ceną swego istnienia.

*W. Śpiczyński.*

## **„Silna ręka” w Krakowie w dniu 6-tego listopada...**

(Od naocznego świadka).

Kraków w pierwszych dniach listopada stał się widownią niesłychanych w dziejach odrodzonej Polski wypadków. Strzały uliczne walki, szarże kawalerji, pancerne samochody, aeroplany, krew, trupy... Gwałt dononany nad spokojną ludnością, gwałt odcisnięty gwałtem. Zdeptany honor armji, zdeptana wolność obywatelska, zdeptany autorytet państwa...

Narodowa demokracja szaleje. Rada, że może krakowskimi wypadkami zetrzeć z pamięci ludzkiej mord przez nią dokonany na osobie prezydenta Rzeczypospolitej, rada że splugawienie błotem majestatu państwa w dn. 9 grudnia roku zeszłego na chwilę może utonąć w niepamięci — tym usilniej, tym zajadlej winę przeleanej krwi chce przenieść na masy robotnicze, na „wywrotowe“ dążności i cele polskich robotników...

Wypadki krakowskie zostały zasnutę tak gęstym oparem kłamstw, kręctw, potwornych insynuacji, iż rzeczą konieczną jest przedstawić je w świetle prawdy tego tragicznego dnia, jego genezy, przebiegu, zakończenia i skutków. Ustalmy więc wszystko co wiąże się z owym ponurym dniem, wszystko to, z czego złożyła się owa strzelanina, owa walka, ten pamiętny fragment tragedji naszych stosunków.

\*

Proletariat krakowski należy do najłagodniejszego chyba w całej Polsce. Wysokie uświadomienie polityczne, silne przywiązanie do interesów państwowych, długoletnia tradycja parlamentarnych zdobyczy, osiąganých w dawnej Austrii, zresztą jawność pracy socjalistycznej — wszystko złożyło się na ową łagodność form walki partyjnej, z którą nie można nawet porównać stosunków panujących gdzieindziej, szczególnie w b. Kongresówce. Że hasło strejku kolejowego i pocztowego tutaj, a nie gdzieindziej padło, że strejk ten był pierwszym w Krakowie, tłumaczy się niczym innym, jeno owym fatalnym położeniem materialnym, w jakie rzesze pracowników państwowych wpędziły rządy Kucharskich i Seydów. Tak skrajnej nędzy pracownicy ci nigdy



jeszcze nie cierpieli. I zadowolili by się naprawdę byle czym. Zadowolili by się odrobiną ulgi, bowiem w swym wysokim patryotyzmie potrafią ocenić położenie państwa, potrafią jeszcze pocierpieć. Lecz na przedstawienia swoje spotkali się z tak brutalną odprawą, jakiej żaden rząd nigdy pracownikom swym jeszcze nie dał. Miast uwzględnienia żądań — pokazano drzwi, represje, gwałty.

Nic więc dziwnego iż takie potraktowanie urzędników musiało doprowadzić do strejku. W rezultacie militaryzacja i sądy doraźne.

W poniedziałek 5-go listopada, w pierwszym dniu generalnego strejku panował w Krakowie spokój. Dzień przedtym, w niedzielę wieczorem ukazały się na murach miasta odezwy wojew. Gajeckiego zabraniające zebrań pod gołym niebem. Zebrania takie mogły się odbywać w Warszawie i gdzieindziej, w Krakowie zostały zabronione. Nie ulegało wątpliwości, że władze chcą więc sprowokować zajścia, chcą pokazać swą „silną rękę”.

Rozumieli to wszyscy kierownicy socjalistyczni w Krakowie. Wzywali i zaklinali robotników do spokoju, by nie dać się sprowokować. A ponieważ wiadomo było, że masy strajkujące będą chciały porozumieć się ze swymi mężami zaufania, że będą się chciały porozumieć z komitetem strejkującym — przeto postawie socjalistyczni chcieli urządzić zebrania w salach „Sokoła” bądź „Studeckiej”. Okazało się to niemożliwym, gdyż sale te zajęło wojsko. Proszono więc o pozwolenie urządzenia zebrań daleko za miastem — w Borku Załęckim czy na Sikorniku — lecz i tu „twarda ręka” odmówiła. Stało się więc tak, jak należało przewidzieć. W poniedziałek olbrzymie masy robotników zalały ulicę Dunajewskiego i Plac Szczepański. Skonsygnowane wojsko i policja nie mogły nic poradzić. Zniknęli w tłumie, aż w końcu musieli się wycofać.

Nastrój stawał się coraz gorętszy. Dla wszystkich jasnym było, że musi dojść do wybuchu, jeżeli wojsko i policja następnego dnia będzie się starała „oczyścić” ulice. Że we wtorek miało nastąpić bezwzględne „oczyszczenie” dowodzą tego przygotowania Gałęckiego i Czikiela. Gałęcki, jeszcze raz w poniedziałek wieczór, kategorycznie zapowiedział, iż we wtorek użyje siły. Przez całą noc poobsadzał więc policją wszystkie punkty wokół Dunajewskiej i placu Szczepańskiego. Nad kawiarnią Bizanca, umieścił dwa plutony policji, wszystkie ulice poobsadzał również policją. O wiele „groźniejsze” przygotowania poczynił gen. Czikiel. W poniedziałek wieczór mieszkańcy Krakowa ujżeli ze zdumieniem zataczaną artylerję na Wawelu. Tegoż samego dnia, w poniedziałek, gen. Czikiel poczynił wszechstronne przygotowania do niewątpliwie mającej nastąpić batalji. Rozkazami własnymi utworzył „grupę operacyjną” i „grupę rezerwową”, pościągał oddziały, powydawał dyspozycje, jak przed walną bitwą.

Tak ze strony władz cywilnych i wojskowych został przygotowany dzień 6 listopada. Od rana tłumy, jak i poprzed-

niego dnia, zalały ulice wzdłuż domu robotniczego. Policja i wojsko, zgromadzone w niesłychanej ilości, pracę na tłum. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że w takiej sytuacji pierwszy strzał, pierwszy kamień, doprowadzi do straszliwych, nieobliczalnych następstw.

Te następstwa wziął na swą głowę Gałęcki i Czikiel. Już po pierwszych strzałach oddanych przez policję o godz. 8 m. 30, po pierwszej krwi robotniczej, gdy tłum jeszcze nie miał broni, gdy stał bezsilny wobec uzbrojonej policji — komisarz Pękiewicz i Broszkiewicz błagali Gałęckiego i Kiernika przez telefon, by pozwolił na cofnięcie policji i wojska. Zapewniali, że tłum ten znają, że znają krakowskich robotników, którzy mimo już przelanej krwi — powiecują i rozejdą się do domów. Obaj — w trakcie tych przedstawień zostali zawieszani w czynnościach. Rząd chciał „próbę sił” za wszelką cenę.

Gen. Czikiel z drugiej strony szykował się również do tryumfów. Przeniósł się z D. O. K. na Wawel, gdzie objął dowództwo osobiste owych „grup“, otoczył się artylerją, kawalerją, piechotą osnuł miasto siecią telefonów polowych i skwapliwie oczekiwał momentu do działania.

Moment ten nadszedł prędzej niż się spodziewano. Masy tłumów otoczyły kompanie żołnierzy. Zbiło się wszystko razem w jeden tłum. Żołnierze w nim zniknęli. Gdy policja otworzyła ogień, gdy padły trupy — wojsko, choćby chciało, nie mogło interwenjować. Oficerowie zostali posłani z kompaniami na tłum bez żadnych rozkazów. Dowództwo „grup“ nie zdobyło się, by tych oficerów poinformować jaka na nich ciąży odpowiedzialność, co mają robić, jak się mają zachowywać, kiedy użyć siły ognia... Na skutek tego oddziały nie reagowały, gdy tłum poprostu zmieształ się z nimi. Moment rozbrojenia wobec tego był krótki, błyskawiczny. Żołnierz choćby chciał, w ścisiku nie mógłby użyć broni. „Fachowy“ generał wytworzył warunki jaknajidealniejsze, by wojsko mogło być rozbrojone... — Gdy tylko broń znalazła się w rękach robotników i gdy policja nań uderzała — nic dziwnego, że z broni tej zrobili użytek. Fala rozgoryczenia, gniewu, oburzenia i rozpacz — musiała się zamienić w rozpaczliwą decyzję obrony.

Posypały się strzały z obydwu stron. Utworzyła się linia bojowa. Stało się to wszystko przed godz. 10-tą rano. O 11-tej Gałęcki przerażony, że robotnicy mają broń, że policjanci się cofają, że broń oddają — telefonicznie zażądał ataku kawalerji...

I stała się rzecz straszna. Dowodzący generał, oficer, żołnierz, który pono był na froncie, osobiście wysyła dwa szwadrony. Na mokry asfalt, na ulicę, naprzeciw ludziom uzbrojonym w broń palną, tak straszną dla kawalerji — wysyła Czikiel ułanów z lancami, ułanów na koniach!...

— Musiało się stać owe straszne żniwo. Robotnicy na atak kawalerji odpowiedzieli ogniem — podkreślamy z naciskiem — w ko-

nie. To wystarczało. Ulica pokryła się posoką, rozszalałe konie, rozpaczliwie ślizgające się po mokrym asfalcie zrzucały z siodeł ułanów, gniotły ich, łamały im kości. 95% rannych ułanów, to połamane przy upadkach z koni ręce i nogi..

W ciągu pięciu minut dwa szwadrony zostały kompletnie rozbite. Dwa szwadrony przepięknego, wspaniałego żołnierza, tak Polsce potrzebnego..

„Bohaterski“ generał stracił momentalnie głowę. W tym bezmyślnym mózgu zrodził się nowy, genialny plan! Lotnicy, aeroplany!.. Groza powstała w mieście. Strzały, krew, szarże kawalerji. Rozpaczliwy ten obraz uzupełnił przerażający huk motorów lotniczych, aparatów przelatujących tuż nad dachami, nad ulicami miasta. Za chwilę ruszyły dwa pancerne automobile, z których jeden natychmiast wpadł w ręce robotników wraz z karabinami maszynowymi, z ostrą amunicją..

Wówczas jeszcze raz się przerazili pan wojewoda Gałęcki i pan generał Czikiel.. i zawarli zawieszenie broni!

\*

„Próba sił“ skończyła się dla rządu fatalnie. „Silna ręka“ okazała się tym, czym jest w istocie — ręką brutalną, kierowaną mózgiem nieodpowiedzialnym, szaleńczym.

Powiedział kiedyś jakiś monarcha, że gdyby ludy wiedziały, jak małą dozą rozumu są rządzone — nie ścierpałyby tego ani chwili. Ta mała doza rozumu, ten jego kompletny brak, tam gdzie najbardziej go potrzeba, uwydatnił się z przeraźliwą jaskrawością, w owym dniu 6-ego listopada 1923 r. w Krakowie, po stronie rządu.

*Gwido.*

## Masaryk i Dmowski.

Gazeta Warszawska dn. 10 listopada r. b. w artykule: „Pięciolecie republiki“ pisze, co następuje:

„Czechosłowacja była w tem szczęśliwym położeniu, że nad kolebką jej wśród plejady sił dzielnych jaśniały trzy gwiazdy narodowe pierwszego rzędu: dr. Rasin, dr. Benesz i prezydent Masaryk... Prezydent Masaryk był rodzicem dzisiejszej polityki czechosłowackiej.“

A teraz przypomnienie.

W 1907 r. odbył się w Pradze Czeskiej kongres wszechsłowiański, w którym brała również udział delegacja polska pod przewodnictwem p. Dmowskiego. Odmówił jednak swego udziału w tym kongresie, już wówczas jeden z pierwszych ludzi w Czechach, p. Masaryk.

Kilku dziennikarzy polskich z Warszawy i Krakowa, reprezentujących polskie pisma postępowe, złożyli wizytę prof. Masarykowi, jako *leaderowi* postępu czeskiego. W gabinecie wielkiego uczonego toczyła się oczywiście rozmowa również na temat kongresu, i padło pytanie, dlaczego Masaryk nie wziął w nim udziału?

Odpowiedź była jasna i niedwuznaczna, że dla Masaryka wykluczona była współpraca z ludźmi, reprezentującymi ten kierunek myśli politycznej, co przewodniczący delegacji rosyjskiej Krassowski (przed którym giął się w ubliżający godności narodowej sposób p. Dmowski), co p. Dmowski, co narodowa demokracja czeska i t. p.

A dzisiaj dla *Gazety Warszawskiej*, a więc pewno i dla p. komana

Dmowskiego prezydent Masaryk jest „gwiazdą narodową pierwszego rządu”, jest „rodzicem dzisiejszej polityki czeskiej”.

I niewątpliwie był tam już wówczas, kiedy nie chciał spotkać się na wspólnym zebraniu z p. Dmowskim i jemu podobnymi i dlatego właśnie, że szedł innemi, o szerszych horyzontach, drogami, dokonał tego, co nie stało się udziałem egoistów narodowych.

Czyżby dlatego w swej „bezstronności” *Gazeta Warszawska* nie wspomiała wśród gwiazd narodowych czeskich d-ra Kramarza, ówczesnego przywódcy narodowej demokracji i prezesa kongresu wszechsłowiańskiego z 1907 r.?

## Propagator polityki wynaradawiania.

Chicagowski *Nowy Świat* donosi nam, że bawiący w Ameryce z ramienia swego obozu politycznego b. poseł i nieczynny generał Haller złożył korespondentowi *Chicago Daily News* oświadczenie następującej treści:

„Proszę oświadczyć mieszkańcom Chicago, że jadę do ich miasta, aby tam spotkać moich ziomków nie jako Polaków, ale jako Amerykanów. Osobiście popieram usilnie amerykanizację dla tych wszystkich, którzy ten kraj wybrali sobie za swoją ojczyznę. Muszą oni nabrać przeświadczenia o konieczności stawania się obywatelami Ameryki oraz stwierdzić swoją niepodzielną lojalność dla kraju przez się adoptowanego”.

Autentyczność powyższej deklaracji potwierdza amerykański *Dziennik Związkowy*, ideowy odpowiednik warszawskiej *Gazety Porannej*.

Wolno było sądzić, że wszyscy polacy, niezależnie od sympatii lub przekonań politycznych, uważają sobie za obowiązek narodowy przeciwdziałać procesowi wynaradawiania się polskich emigrantów rozrzuconych po Francji, Niemczech lub Ameryce. Rozumieliśmy, że wszystkie misje polityków i działaczy społecznych do centrów osiedli polskich na obczyźnie, a więc i Ameryki mają na celu podtrzymywanie w sercach rodaków, od pnia macierzystego odciętych, węzły niegasnącej z nią łączności, wzmacniać je, nawiązywać, jeśli gdzie uległy rozluźniającemu działaniu czasu i izolacji.

I oto nagle, ku najwyższemu zdumieniu dowiadujemy się, że jeden z najgłośniejszych reklamujących patriotów, pretendujący conajmniej do identyfikacji jego osoby z imieniem Polski, której uważa się za najidealniejszego wyobraziciela bez reszty — przywozi polonji amerykańskiej imperatyw wynaradawiania się. „Osobiście popieram usilnie amerykanizację dla tych wszystkich, którzy ten kraj wybrali sobie za swoją ojczyznę” i dlatego „jadę do Chicago, aby tam spotkać moich ziomków jako Amerykanów”. Jest to bezprzykładny precedens wysuwania takiego hasła przez polaka, którego słowa, ze zgodą narodu czy wbrew niej, obciążają wobec obcych jego rachunek, polaka występującego ponadto w mundurze najwyższej rangi generała armji, a więc reprezentującego Polskę oficjalną. Ofiary kapitulacji z uczuć dumy i odrębności

narodowej nie żądał od Polaków żaden przedstawiciel narodu, ani rządu amerykańskiego, ale jakgdyby dla zadrwienia sobie z mądrości liberalnej polityki waschingtonskich mężów stanu, nakazuje ją przedstawiciel nacjonalistów polskich, uważających się za jedynie uprawnionych przedstawicieli Polski, nie tylko moralnych, ale obecnie nawet oficjalnych.

Pana Hallera i obóz przezeń reprezentowany historia niczego nie nauczyła, nie zwróciła nawet ich uwagi dynamika konsekwencji rezygnowania przez naród polski ze swych współbraci wyrzuconych koniecznościami życia poza granice ojczystych zagónów, która wyraża się w tem, że zasada ta siłą logiki musiałaby działać również na korzyść Niemców.

Omawiana deklaracja p. Hallera, wpływająca zresztą konsekwentnie z ideologii obozu, który wysunął go na czołowe miejsce swojej listy wyborczej w stolicy, nie zwróciła, ku prawdziwej szkodzie uwagi prasy, codziennej. W naszym zaś rozumieniu jest ona dokumentem wielkiego znaczenia politycznego, jako wyraz ideologii narodowej demokracji i jej stosunku do polskiej emigracji.

W. S.

## Na mękach kłamstwa.

Inwigilacya Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego trwa nie tylko w odnośnych urządach wojskowych i policyjnych—o czem głośno mówią stołeczne dzienniki — ale inwigiluje się go ciągle i w prasie i w literaturze i w rozmowach prywatnych. Ciągłe żyje ten człowiek! Nic się nie dzieje w Polsce, czego by o niego nie oparto! z czemby nie porównano jego sposobu poczynania, czemby nie ciśnięto! mu pod nogi: wawrzynem, czy też... rękawicą! A nienawiść taka jest ślepa, że nie widzi iż zawsze jednym tchem wymawia jego imię i imię Polski i że szkalując jego, szkaluje Polskę. Oto np. jeden mniej zręczny korespondent *Rzeczpospolitej*, p. Paweł Trzaska, opisując pobyt Masaryka w Paryżu, chce dać do zrozumienia, że Piłsudski jako Piłsudski, w swoim czasie był znacznie chłodniej przyjęty niżli Masaryk jako Masaryk, że natomiast przyjęcie Piłsudskiego, nie jako Piłsudskiego, lecz jako Naczelnika Państwa Polskiego, o całe niebo gorętsze, niżli przyjęcie pana Masaryka, nie jako pana Masaryka, lecz jako Prezydenta Czechosłowacyi. Wogóle wściekle karkołomnych ewolucyí dokonuje w rzeczonym artykule pan Trzaska. Aż trzeszczy od sprzeczności... Więc powiada: „Francya wiedziała, że p. Piłsudski nie jest konstytucyjnym reprezentantem Polski...” (na chwilę zapewne zapomniała o Małej Konstytucyi Polskiej i o jednogłośnym wyborze Naczelnika). Tedy przyjęła go pod psemy?

Nigdy w świecie!!! Dwa wiersze dalej pisze bowiem p. Trzaska, że „p. Piłsudski przedstawiał Polskę, więc czuć było w okrzykach ten entuzjazm nieklamany dla Polski. Ten sam entuzjazm widzieliśmy na uroczystym posiedzeniu Sorbony, gdzie zapął dla Polski był tak szczerzy i olbrzymi, że wobec niego manifestacya przy otwarciu przez p. Masaryka Instytutu Słowiańskiego wydała się nam wszystkim nader bładą, niemal zimną”... Chwała panu Bogu! Więc wszystko w porządku? Kochają w Paryżu nas i Piłsudskiego sto razy bardziej niż Masaryka i Czechów! Tak?

Ale skądże! Wprost przeciwnie! Pan Trzaska jest tak przeczułonym obserwatorem, że widzi i słyszy to czego byśmy nigdy nie dojrzeli i nie doślyszeli. Żadne *nuance* uczuć tłumy nie są mu obce. Wyczuwa błyska-

wicznie np. czy tłum się entuzjazmował dla Polski bez Piłsudskiego, czy dla Piłsudskiego bez Polski, czy dla Nich Obojga razem i tak samo, w mig, czy p. Masaryk stanowią jedno ze swoimi Piepiczkami, czy też Piepiczki osobno, a on osobno? To wszystko subtelny człowiek zważył na uncje i zakończył: „Niestety nie z łona Komitetu Narodowego wyszedł ten, który w r. 1921 wystąpił w Paryżu jako oficjalny przedstawiciel Polski“ (więc oficjalny czy nie oficjalny?) „Temu też przypisać należy, że niezależnie od sympatji francuzkich dla obydwu narodów, p. Masaryk jest w Paryżu osobą daleko więcej popularną, niż p. Piłsudski, do którego Francja z pewną ostrożnością zawsze się odnosiła“...

Hml Ostrożność nigdy nie zawadzi, ale... zle!!! Więc kochają bardziej Masaryka i Piepiczków w Paryżu niżli nas!

Nigdy! skądże! Właśnie że p. Masaryk „był nader blade i nieomal że zimno“ w Paryżu przyjęty, zaś Piłsudski... i tam dalej... i tam dalej... od początku... Niema oczywiście słowa o tem, jak gazety czeskie torowały drogę swemu Masarykowi, gdy do Francji miał wyruszyć, a co wyprawiły bezwzględnie pisma nasze, wprost zalecające Millerandom, aby pilnowały tajemnic państwowych i swoich ewentualnie złotych zegarków, bo kupił bilet kolejowy do Paryża pan Piłsudski, opryszek, intrygant, intruz, bandyta, german, szpieg bolszewicki i t. p. (...ma duże krzaczaste brwi, oczy siwe, sumiasty wąs i kurtkę szarą...)

Z pana Trzaski jak widzimy, nie wystrasżnięto ryżu nawet w Paryżu, ale marzenia jego spełniły się. Mamy teraz u steru rządu tych właśnie z Komitetu Narodowego wyłonionych, którzy cuda obiecywali dla zagranicznego *prestige'u* Polski działać, samym choćby imieniem swoim i samą firmą.

Zobaczmyż u najwłaściwszego źródła o ile się wzmógł pod ich skrzydłami szacunek i sympatja państw ościennych dla obywatela polskiego, a któż nas lepiej od *Rzeczypospolitej* poinformuje?

W № 252, w artykule dra Zwierzyckiego czytamy: „W Holandji jesteście gorzej traktowani stanowczo aniżeli przed wojną“... W Holandji... w jednym z nielicznych państw monarchistycznych, gdzie powinni mieć szczególne względy dla naszych monarchistów obecnie rządzących! Ale oto w republikańskiej „Szwajcarii nie lepiej. Jadąc ostatnio przed 3 tygodniami do Bazyleji — pisze p. Zwierzycki — zatrzymano mnie tu na granicy, zmuszając do poddania się rewizji sanitarnej. Szykana ta spotkała mnie jednego Polaka wobec siedmiu podróżnych innych narodowości. Dzieje się to stale...“

W Austrii, mimo rozczulających przyjęć, urządzanych przez p. Seyde w Warszawie dla ks. Sejpla, dzieje się jeszcze gorzej niż w Szwajcarii. Nieszczęsnemu korespondentowi *Rzeczypospolitej*, kiedy wracać chciał na Wiedeń do domu, odpowiedziano w konsulacie austriackim w Zurychu: „że Polacy są w Austrii niemile widziani i że wizę może otrzymać jedynie pod warunkiem, że się najpierw postara o wizę czechosłowacką, aby mieli pewność, że terytorjum republiki austr. bezzwłocznie opuści. Poza tem wiza kosztuje bagatelkę tylko, 126 frank. szwajc. Od obywateli wszystkich innych narodowości pobiera konsulat austriacki od 3.50 do 8 frank.“...

Ładna historjal Korespondent *Rzeczypospolitej* p. Zwierzycki, zapewne do dziś jeszcze wędruje. W następnym liście swoim doniesie nam o kwasnem przyjęciu w konsulacie Czechosłowackim, gdzie zażądają od niego wizy węgierskiej, jako dowodu, że do 24 godzin opuści granice Czechosłowacji. W konsulacie węgierskim zaproponują mu grzecznie, niby, że Polak Węgier dwa bratanki, wylegitymowanie się wizą Jugosławiji — w Jugosławiańskim: wizą samego Mussoliniego — Mussolini wizą księcia Monaco — o ile go nie każe rozstrzelać w końcu jakiś z nami jeszcze bardziej zaprzyjaźniony, a bardziej krewki dyktator czy król, to tak aż do sądnego dnia, aż do skończenia świata, albo aż do skończenia się rządów, wyłonionych... z Komitetu Narodowego, który w tyłu sercach, w tak krótkim czasie zdołał rozpaść miłość i szacunek dla Polakill

C. C.

## Generał Weygand o polskich mężach stanu.

W Paryżu ukazała się wielce ciekawa książka p. t. „Le problèmes de l'Europe Centrale” zawierająca protokoły cyklu konferencji urządzanych przez wychowawców i słuchaczy Szkoły Nauk Politycznych, na których szereg wybitnych polityków francuskich poddawali rozważaniom problemy polityczne środkowej Europy.

Na jednej z tych konferencji, odbytej dnia 24 stycznia b. r. zabrał głos gen. Weygand znany społeczeństwu polskiemu z współpracy z Naczelnym Dowództwem armji polskiej w krytycznych miesiącach 1920 r., który między innymi oświadczył:

„J'ajoute et ce n'est pas le moins important, que ces pays ont des hommes pour les conduire dans des voies aussi nettement tracées. Pour ne parler que de ceux, que j'ai eu l'honneur d'approcher: en Pologne, le Maréchal Piłsudski dont l'énergie et la sens politique se sont affirmés aux heures les plus graves de l'histoire du nouvel Etat Polonais; le Général Sikorski hier jeune et remarquable Général d'armée, aujourd'hui Président du Conseil et qui vient dans des circonstances dramatiques par sa modération et son énergie de maintenir dans son pays le calme qui risquait d'être troublé par un crime politique insensé“.

W dosłownym tłumaczeniu ten ustęp przemówienia brzmi,

„Dodaję i nie jest to najmniej ważne, że kraje te mają ludzi, którzy poprowadzą je po drogach jasno wytkniętych. Że wymienię tych do których miałem zaszczyt się zbliżyć: w Polsce Marszałek Piłsudski, którego energia i zmysł polityczny uwydatniły się w chwilach dla historii nowego Państwa Polskiego najważniejszych; generał Sikorski, wczoraj młody i wybitny generał armji, dziś prezydent Ministrów, który w okolicznościach dramatycznych przez swe umiarkowanie i energję potrafił utrzymać w swym kraju spokój, który był zagrożony przez szaloną zbrodnię polityczną“.

Innych mężów stanu z pośród polskich polityków gen. Weygand nie wymienia.

## Francuz o marszałku Piłsudskim.

Paryski korespondent *Robotnika* p. Hieronimko podaje w numerze 309-tym tego dziennika list, jaki wystosował deputowany francuski p. Jean Sayet do redaktora *France Militaire*. w obronie czci Marszałka. P. Sayet pisze:

Panie Dyrektorze!

Zostałem głęboko dotknięty, jako dawny żołnierz i deputowany francuski, z powodu artykułu p. t. „Polska od chwili zabójstwa prezydenta Narutowicza“, który Pan ogłosił 1 października b. r.

Należało to zawsze do tradycji naszego kraju, odnosić się z największą kurtuazją jeżeli nie z szacunkiem, do szefów woj-

skowych narodów z nami sprzymierzonych i rzeczą jest istotnie zadziwiająca, że pisząc o marszałku Piłsudskim, który przewodził Polsce, dla którego mamy tyle sympatii, a nawet przyjaznego uczucia, korespondent Pański postąpił sprzecznie z tem stanowiskiem. Ostatni ustęp tego artykułu, w którym autor pisze, „abyśmy już więcej nigdy o nim nie potrzebowali mówić“ — jest tego rodzaju, iż w opinii wielu przechodzi on granice dozwolonej krytyki.

Jak można zapomnieć w r. 1923, że marszałek Piłsudski przybył do Francji w 1921 r. i był tu owacyjnie przez nasz rząd przyjęty? Jak można nie pamiętać, że był on Naczelnikiem Państwa, i to w momencie, kiedy Polska wydała bitwę pod Warszawą, a udział w niej wzięli nasi oficerowie i żołnierze? Jak można sobie tego nie przypomnieć, że to Piłsudski scementował w ostatnich latach jedność Polski?

Nasi przyjaciele Polacy, mają prawo układać swoją politykę wewnętrzną, tak, jak im się podoba i byłoby rzeczą conajmniej nierozważną wtrącać się do ich własnych spraw. Czyż Republika Francuska, niezależna od tendencji swych rządów, starała się kiedykolwiek przed 1914 r. wpływać na sprawy wewnętrzne cesarstwa rosyjskiego, swego sprzymierzeńca?

Marszałek Piłsudski zrzekł się swego stanowiska; nie mamy prawa z tego powodu czynić mu zarzutów. Zachowamy dla niego największą wdzięczność, za znakomite zasługi, które oddał swej ojczyźnie, wyzwolonej z opresji, Polsce, która nam jest drogą — przez dowody przywiązania, które nam dawała tylokrotnie.

Będę Panu bardzo wdzięczny, jeśli list ten będzie podany do wiadomości Pańskich czytelników i proszę Pana, p. Dyrektora, aby Pan przyjął dowody mego szacunku.

Deputowany Belfortu *Jean Sayet*,  
b. major bataljonu, oficer Legji Honorowej.

Dla uzupełnienia znaczenia politycznego listu dodajemy, że jego autor reprezentuje prawe skrzydło francuskiego radykalizmu i został wybrany do parlamentu z listy Bloku Narodowego, bezkrytycznie adorowanego przez naszą pravicę, uważającą swoją „ósemkę“ za odpowiednik bloku p. Sayet.

## **Morgan i minister Kucharski.**

Dnia 27 września b. r. zaproszonym na konferencję dziennikarzem minister skarbu Kucharski, omawiając w związku z Bankiem Emisyjnym kwestję pożyczki zagranicznej w poszukiwaniu której objechał wspólnie z p. Hammerlingiem Europę, oświadczył: „Chodziło o to, aby w okresie, kiedy będzie się odbywała subskrypcja, która może przeciągnąć się na dłuższy okres czasu, były zapewnione odpowiednie kapitały. Usiłowania w tym kierunku podjąłem w grupie Morgana“.

Tymczasem już dnia 29 sierpnia — jak przypomina *Kurjer*



*Polski—New-York Times* zamieścił notatkę p. t. „Firma Morgana zaprzecza pogłoskom o pożyczce dla Polski i Rumunii“, która brzmi: „Pogłoski, jakoby firma Morgana negocjowała z dwoma państwami europejskimi o pożyczkę w Ameryce były zdemonstrowane wczoraj w biurze firmy. Krajami temi miały być Polska i Rumunja. W sprawie pożyczki polskiej depesza z Warszawy donosi, iż rada ministrów zgodziła się na zaciągnięcie 100 milionowej pożyczki w banku Morgan-Havjes w Paryżu. Tydzień przedtem doniesiono, że prowadzono rozmowy o ulokowanie tej pożyczki przez polskiego ministra skarbu i p. Stotesbury, uczestnika firmy J. P. Morgan i C-o w Filadelfji. Biuro w Nowym Jorku firmy Morgana wiedziało o tem, że p. Stotesbury był w Warszawie na wakacjach, ale nic o tem nie wiedziało, aby z ramienia firmy traktował o pożyczce. Jeśliby taka pożyczka była zamierzona, należy przypuszczać, że biuro firmy w New-Yorku byłoby zapewne o tem poinformowane, w szczególności, gdyby pożyczka miała być w dolarach“.

Nie mamy powodu boleć nad kompromitacją p. Kucharskiego—od tego są inni. Uważamy jednak lekkomyślność—z jaką minister nadwyreża opinię państwa takimi nieporozumieniami z prawdą—za karygodną i niewybaczalną. Kłamstwo, jako fundament naprawy skarbu, należy, być może, do eksperymentów wielce ciekawych. Wszakże słusznem jest, aby ludzie smakujący w naśladownictwie alchemików stworzyli sobie odpowiedniejsze dla doświadczeń warunki życia, oddając władzę ludziom bardziej zrównoważonym i sumiennym.

### **Dzisiaj dopiero...**

„Tu i owdzie słychać głosy, zalecające puścić w niepamięć tragiczne wypadki krakowskie. Choćbyśmy chcieli — niepodobna zapomnieć. Nie pozwala na to głos sumienia i instynkt społeczny. Jest przecież coś gorszego jeszcze od zbrodni... I jeszcze coś gorszego: wieńczenie zbrodniarzy laurami, ściskanie skrwawionych rąk... A właśnie ta ohyda dzieje się jawnie publicznie...“ Tak pisze *Kurjer Warszawski* dn. 14 listopada 1922 r.

Dlaczego dzisiaj dopiero odzywa się z tej strony głos potępienia apoteozy zbrodni, jako zasady?

Dlaczego milczą w grudniu 1922 r.?

### **Bluff — jakich wiele.**

Narodowa demokracja jak wiadomo celuje w *bluff'ach* wszelkiego rodzaju.

Niektóre z nich posiadają pewne cechy nowości (w Polsce przynajmniej) np.: zrównoważony budżet p. Kucharskiego i skutkiem tego wprowadzają w błąd nawet szersze koła opinii publicznej. Inne, używane oddawna, mocno podstarzałe i oklepane, wywierają jednakże pewien wpływ, (coprawda coraz bardziej ograniczony), na topniejące z dnia na dzień rzesze wiernych czytelników *Gazety Warszawskiej, Porannej i Rzeczypospolitej*.

Do tych ostatnich sposobów „nabierania” należy wmawianie w naiwnych, że jedynie prawica, *recte* narodowa demokracja posiada zaufanie i dobre imię u Aljantów, że jej rządów w Polsce życzą sobie — ci ostatni, że, wobec tego, jedynie ona może z pożądanym skutkiem kierować polityką zagraniczną.

Temu *bluff'owi*, powtarzającemu się stale od tego czasu, kiedy to (przypomnijmy sobie ów znakomity plakat endecki) Wilson, Clemenceau i wszyscy inni święci koalicyjni rzekomo namawiali Polaków do głosowania przy wyborach do pierwszego sejmiku na listę narodowo-demokratyczną, „sukcesy” międzynarodowe obecnego rządu, w ciągu ostatnich pięciu miesięcy, zadały kłam ostateczny, zrozumiwały i widoczny dla wszystkich.

Mimo tego jednak, *Gazeta Warszawska* i jej młodsza siostrzyca, licząc widocznie na to, że są jeszcze w Polsce tacy, którzy wierzą w każde drukowane głupstwo, umieszczały, w ostatnich dniach, na pierwszej stronie i wielkimi literami telegramy swych paryskich korespondentów, cytujących urywki z kilku reakcyjnych dzienników francuskich, które ucieszyły się jakoby niezwykle z „usprawnienia” gabinetu p. Witosa przez wejście doń znakomitych i tak wiernych przyjaciół Francji, jak p. Dmowski i Korfanty, insynuując przytem, że te kilka specjalnie spreparowanych urywków reprezentują ogólną opinię Francji, a co za tem idzie opinię rządu francuskiego.

Organy „narodowego” rządu usiłując w ten sposób zdobyć sobie opinię publiczną, ludzą się, że „la cuisine” podobnych fabrykatów nie jest dostatecznie znana ogółowi polskiemu. Wiadome jest, że narodowa demokracja posiada w Paryżu swoich agentów i agencików, ludzi dość ruchliwych, niezłe uposażonych (nawet dzisiaj, pomimo hurra-oszczędnościowego budżetu p. Kucharskiego) i posiadających pewne środki i sposoby, które im pozwalają na umieszczanie od czasu do czasu wzmianek, a nawet artykułów w niektórych prawniczych, brukowych pismach francuskich (*Echo de Paris, Libre Parole, Liberté etc.*), a nawet na podpisywaniu ich nazwiskami niektórych, dość znanych, publicystów. Poza tem nasze oficjalne Biuro prasowe i jego stosunki są przecie dzisiaj do dyspozycji endeckiej partyjnej propagandy.

Te, niemające nic wspólnego z poważną opinią francuską (ani z Quai d'Orsay) elukubraty pp. Smogorzewskich i Kleczkowskich, lub komunikaty Biura prasowego przesyła się następnie do Warszawy, ... gwoli wzmocnienia w opinii polskiej „usprawnionego” lecz chwiejącego się gabinetu p. Witosa.

### **Towarzysz ks. Lutosławskiego o ... jezuitach.**

„Przypomnijmy sobie na tem miejscu jeszcze, że gdy różnawiercy wszyscy w krótkim czasie swego istnienia założyli przeszło 1500 szkół elementarnych i w tem kilka świetnych uczelni wyższych arjańskich, zwanych Ateńskimi, *Jezuici nie założyli ani*

jednej szkoły elementarnej-popularnej, a w konwiktach swoich i collegiach, ekskluzywnie szlacheckich, i w Akademii wileńskiej *pacyli, psuli młode dusze* mechanizowaniem praktycznej wiedzy, podręcznikami frazesów krasnomówczych, judzeniem na dyssydencję oraz dewocją przechodzącą w jakiś pół meksykański kult dla fetyszów, w pół egipski dla skarabeuszów. Pokolenia wychowane w tych wylegarniach kastowego i religijnego egoizmu, wyszedłszy na świat, zaczęły działać według Pisma Świętego: „wywiedz za bramy bluźniercę i niech go ukamionuje lud cały” i wnet pchnęły nam różnowierców w objęcia szwedzkie, wnet rozdrażniły do stanu złowrogiego wschodnią schyzmę (intrygi t. zw. błogosławionego Józefata Kuncewicza), wreszcie rozpalily straszny gniew i pomstę torturowanego i masakrowanego kozaczego ludu. Trzeba im jednak przyznać, że tylko oni uratowali byt katolickiego wyznania w Polsce, pchnąwszy naród w kosztowną rolę „przedmurza chrześcijańskiego”, „*antimurale Christianitatis*”. Co prawda uczynili to kosztem rzek polskiej krwi i strumieni polskich łez, zawsze jednak w myśl kardynała Hoesego z Prus, (który nie znał nawet języka polskiego a mówił wyłącznie po łacinie), że „lepiej kraj oddać wrogom niżli herezykom” i w myśl maksymy kaznodziejskiej, „jeśli zginie doczesna ojczyzna, to przy wiecznej ostoim”. (Podkreślenie nasze—Red.).

Kto tak trafnie ocenia rolę jezuitów w Polsce, ich zbrodnie, przewrotność i fatalne skutki ich gospodarki?

Wstrzymaj śmiech, czytelniku!

To p. Adol'f Nowaczyński tak grzmi na kler. Ten sam, którego tygodniczek drukuje wypracowania... ks. Lutostawskiego. Ten sam, który w każdym przejawie wolnej myśli w Polsce widzi, przez szkła swych chlebodawców patrząc, intrygi „mocarstwa anonimowego”.

Dodajmy: cytowane niżej zdania wyjeliśmy z A. Nowaczyńskiego „Szkiców Literackich”, (Poznań, „Ostoja” 1918, str. 21—22). Panie Nowaczyński, może cytujemy nieściśle? *Advis.*

## Powiadają...

Powiadają, że w krwawy wtorek krakowski dn. 6-tego listopada z Prezydium Rady ministrów nadano przed południem pod adresem gen. Czikiela telegram następującej treści:

„W każdym wypadku używać najostrożniejszych środków  
Witos, Szeptycki”.

Jak wiadomo gen. Czikiel rozkazał szarżować kawalerji tłumy, sprowokowane do obrony przez strzały policji.

Powiadają, że wyjazd\* komandora Younga, angielskiego doradcy finansowego min. Kucharskiego z Polski jest definitywny. P. Young jest rzekomo przeciwnikiem zakładania w naszym położeniu skarbowem Banku Emisyjnego, min. Kucharski zaś postanowił, bez względu na rezultaty, zrealizować zapowiedź otwarcia banku z dniem 1 stycznia 1924 r. W tych warunkach—jak powiadają—p. Young miał oświadczyć, że jako finansista nie może współpracować z p. Kucharskim.

Od siebie wyrażamy przypuszczenie, że wytworny dyplomata angielski wypowiedział swoje zastrzeżenia i wnioski w formie wysoce subtelnej i lśniącej gładkimi komplementami.

## „Pani“.

Mieliśmy już raz okazję podzielenia się z czytelnikami wrażeniami i uwagami o tym szczególnym w naszych stosunkach wydawniczych piśmie. Szczególnym?.. Tak jest. Bo proszę. Gdy wszystkie wydawnictwa dawne, o ugruntowanej tradycji—wzrastają, gdy dzienniki polityczne, ten chleb powszedni każdego, choć trochę, inteligentnego obywatela poprostu niezbędny do orientowania się w życiu: burz, niespodzianek i niebezpieczeństw pełnem — robią bokami, w tym społeczeństwie nieczytającym jeśli zamożnym i biednym jeśli czytającym — wychodzi sobie nagle czasopismo luksusowe, jaśniepańskie, które tak się ma do wszystkiego co opuszcza naszą prasę drukarską, jak dolar do marki. I jak dolar idzie w górę, jest coraz doskonalsze, coraz w zamożniejszą odziane szatę, coraz bardziej oddalające od szarej rzeczywistości... coraz powabniejsze.

Jest to wytworna, królewska „Pani“, na którą, gdy czasami przed magazynem Zmigrydera wysiada z limuzyny, zerknie poniektóry inteligencki nędzarczy i trochę z zachwyty, trochę z radości, z taką drobnutką domieszką goryczy szepnie cichutko: kto to dziś na „to“ ma?

A jednak ma—gdyż wydaje. Lecz i nie to jest dziwne, bo ktoś musi mieć, gdy nie mają wszyscy. Dziwne natomiast, w naszych stosunkach zdumiewające jest, że ktoś ma i chce wydawać na... pismo. Że ktoś ma i zamiast kupić dolary, przepić w kabarecie, zdobywać względy pięknych tego świata, ma szaleńcze ambicje zadziwienia świata i swoich własnych rodaków (niestety) artystycznym wydawnictwem, bardziej luksusowym, bo mniej handlowem. od wszystkich jego europejskich odpowiedników.

Ostatni podwójny 9—10 zeszyt jest pochwałą znakomitego pędzla p. Łuczynskiej-Szymanowskiej, jej bowiem dziełem jest „to co najważniejsze“ — okładka. W treści, pióra i pędzle co najznakomisz, najpopularniejsze, najpoczytniejsze, najpokupniejsze i.. najdroższe. Czy trzeba je wymienić?... Czy trzeba mówić, że jest wśród nich: Boy, Makuszyński, Lechoń, Wierzyński, Magdalena Samozwaniec, Kleszczyński, Oryźyna, Frycz, Gronowski, Lorentowicz, Zawistowski i.. Rita Sacchetto, ta świetna w tańcu i dzielna w piórze Rita i wszyscy, którzy być powinni. Czy trzeba mówić po wymienieniu tych nazwisk, że „Pani“ jest, jak być powinno, rewją talentów najbardziej wdzięcznych, powiewnych i zalotnych?

Gdyby ten zeszyt wpadł w ręce sceptyka, skłonnego urządzać świat po swojemu, być może nasunęłyby mu się refleksje. Może powiedziałyby, że „Pani“ zbyt szczerze interesuje się panią, a zbyt skąpo tem, co panią interesuje. A co panią interesuje?... Mody, słusznie. Może jednak i meble, może dywan, może wnętrze ciepłe i przytulne, może trochę architektura, może trochę sztuka czysta (obok teatru), może nieco szeroki świat, a może... może nawet i pan. I pomyślałyby może taki sceptyk, że „Pani“ należy do pism, które się chętnie ogląda, a rzadko czyta, że więc szkoda dlań zbyt obficie podanej literatury. Może by tak myślał...

Cóż jednak znaczyć mogą jego myśli wobec niezbitnej prawdy, że jedno tylko takie pismo mamy w naszym kraju.

W. S.

**TREŚĆ № 10 ego:** Skarb i wojsko. W. Stpicyński. — „Silna ręka“ w Krakowie w dniu 6-go listopada... Gwido. — Masaryk i Dmowski. — Propagator polityki wynaradawiania. W. S. — Na mękach kłamstwa. C. C. — Generał Weygand o polskich mężach stanu. — Francuz o marszałku Piłsudskim. — Morgan i minister Kucharski. — Dzisiaj dopiero... — Bluff — jakich wiele. — Towarzysz ks. Lutosławskiego o.. jezuitach. *Advis.* — Powiadają... — „Pani“.

**Warunki prenumeraty:** Prenumerata miesięcznie 30.000 mk., kwartalnie 240.000 mk. Zagranicą kwartalnie 360.000 mk. Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 3288.

Redaktor i Wydawca: Wojciech Stpicyński.

Zakłady Drukarskie „Prasa“, Tamka 46.







**BIBLIOTEKA IBL**

P. II. 376

1923

N. 1-12